

*Londyn,
rok 1794.*

*W czasach rewolucji,
mordercę może złapać
tylko zdrajca...*

CZARNA KROPLA

LEONORA
NATTRASS



CZARNA KROPLA

LEONORA
NATTRASS

Przekład:
Marta Szelichowska

Wydawnictwo Nemezis
Tytuł oryginału: *Black Drop*

Copyright © Leonora Natrass, 2021
Copyright for this edition © 2025 by Heraclon International Sp. z o.o.
Copyright for the Polish translation © 2025 by Heraclon International Sp.
z o.o.

Projekt okładki: Profile Books
Ilustracje na okładce: © duncan1890 @ iStock

Redaktor prowadzący: Anastazja Tabor
Redakcja: Iwona Hardej
Korekta: Maria Pietrusiewicz

Copyright © 2024 by Adriana Mather

Wydanie I
ISBN 978-83-8412-171-9
Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie w całości lub w częściach
wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Weronika Panecka

OBSADA

Downing Street

William Pitt (1759–1806) – premier Korony Brytyjskiej, torys

lord Grenville (1759–1834) – minister spraw zagranicznych, wig

George Aust (1740–1829) – urzędnik państwowy, stały podsekretarz
w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych

Sarah Murray Aust (1744–1811) – jego żona, pisarka

Anne Bellingham – jej owdowiała córka

sir James Burges (1752–1824) – poseł, podsekretarz stanu
w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wig

George Canning (1770–1827) – poseł, protegowany premiera Pitta
na Downing Street 10

Harry Ransome – handlarz drewnem z Indii Zachodnich

Will Benson – urzędnik Canninga na Downing Street 10

Laurence Jago – urzędnik Grenville’a w Ministerstwie Spraw
Zagranicznych

Pan Gibbs – jego pies

Dora – jego gospodyni

Amerykanie

John Jay (1745–1829) – amerykański prawnik, ojciec założyciel
i wysłannik Jerzego Waszyngtona do rządu brytyjskiego

Theodore Jay – syn Johna Jaya i jego sekretarz

Peter Williams (daty nieznane) – niewolnik, lokaj i sekretarz Johna Jaya

Prawnicy

Thomas Erskine (1750–1832) – adwokat, wig, poseł i radca królewski

Vicary „Vinegar” Gibbs (1751–1820) – jego kolega i były pracodawca Laurence’a Jago

Oskarżenia

Thomas Hardy (ur. 1752) – szewc, sekretarz i założyciel radykalnego Londyńskiego Towarzystwa Korespondencyjnego

Lydia Hardy (ur. 176?) – jego żona

Robert Watt (zm. 1794) – szkocki radykał oskarżony o zdradę

Paul Lemaître i George Higgins (daty nieznane) – członkowie Towarzystwa Korespondencyjnego oskarżeni o udział w spisku przeciwko Jerzemu III

Thomas Upton (daty nieznane) – ich oskarżyciel

Francuzi

Maksymilian Robespierre (1758–1794) – architekt terroru

Eglantyna – kobieta szpieg, jakobinka

Dziennikarze

William Philpott – dziennikarz lojalistyczny, który niedawno powrócił ze Stanów Zjednoczonych, redaktor „Weekly Cannon”

Hannah More (1745–1833) – ewangelicka moralistka i pisarka, autorka *Village politics* (Wioska polityków)

Thomas Paine (1737–1809) – zapamiętały radykał, autor *The Rights of Man* (Prawa człowieka), 1790, i *The Age of Reason* (Wiek rozumu), 1793–1794

PROLOG

5 listopada 1794 roku

Zegar u św. Dunstana wybija północ. Zapada cisza. Słyszę, jak Gog i Magog¹ ze zmęczeniem w oczach, z maczugami w dłoniach powracają na spoczynek w wieży zegarowej. Co ciekawe, wykonują swój mechaniczny obowiązek nawet w środku nocy, przy zgaszonych lampach, gdy pada drobny śnieg, a obserwuje ich jedynie stróż. Ja jednak wykonam ostatnie zadanie bez żadnych świadków. Zrobię to w mroku i w ciszy, w obecności Boga i Pana Gibbsa, mojego starego psa, który prawdopodobnie mimo wszystko mnie przeżyje.

Zdradziłem samego siebie dziś wieczorem o piątej i za dwadzieścia dziesiąta. Natychmiast wyszedłem, zwymiotowałem do rynsztoka i pieszo uciekłem do domu. Ucieczka była trudna – prawie dwie godziny wędrowałem z Kensington przez błoto i lodowaty deszcz, a gdy dotarłem na Fleet Street, kulałem. Czułem się oszołomiony, jakbym wypił butelkę brandy. Żałowałem, że nie mam pod ręką tego dżentelmeńskiego lekarstwa – zapukałem nawet do Jeba Turnera w Cock Tavern, ale on już spał i tylko przeklął mnie przez okno. Uratowałem się więc większą ilością Black Drop², która działa podobnie, a kosztuje o wiele mniej.

Nikt mnie nie gonił, miałem na tyle rozsądku, że jeszcze wtedy nie spodziewałem się pościgu, walenia do drzwi, tupotu stóp oficjeli na stromych schodach. Dopiero po świcie obudzili szewca Hardy'ego, wrzucili go do krytego wozu i zawieźli do więzienia.

Nie mam pojęcia, jakie warunki naprawdę panują w Tower. Wyobrażam sobie średniowieczny loch i biedne diabły wiszące na łańcuchach, podwieszone na dziwnych konstrukcjach. Nie sądzę, aby takie straszliwości działały się w naszych oświeconych czasach, ale po bladej, kościstej twarzy Hardy’ego widać było, że cierpiał. W sądzie zaprezentuje się czysty i przyzwoicie ubrany, ale jeśli zostanie uznany za winnego zdrady, ministerstwo bez wahania skaże go na średniowieczną karę. Zostanie powieszony, zobaczy, jak spłoną jego własne wnętrzności i zostanie poćwiartowany dla uciechy tłumu. Nie ma potrzeby stosowania tortur, skoro w dręczących snach musi każdej nocy przeżywać drogę na szafot. We Francji nawet Robespierre załamał się na myśl o transporcie dwukółką, drwiącym tłumie i czekającej na niego gilotynie. Jak na człowieka tak biegłego w zabijaniu innych, popełnił bardzo niezręczne samobójstwo. Odstrzelił sobie szczękę i poszedł na gilotynę żywy, ale w agonii i upodleniu.

Ale to nie aresztowania czy więzienia boję się dziś najbardziej. Wzdrygam się na dźwięk starej deski podłogowej na półpiętrze przed moją izbą. Żałuję, że nie mam pistoletu, który przepadł na dnie Tamizy przy Blackfriars Bridge. Tylko mój przytępiony spryt może mnie ocalić przed cichymi krokami, których nasłuchuję, i szybkim ciosem, który miałby mnie uciszyć na zawsze.

Jeśli zostanę dziś pojmany – przez oficjeli, zabójcę czy samego diabła – te zapiski muszą mówić za mnie. Będąc przy zdrowych zmysłach, pomimo Black Drop i przerażenia, daję ci, czytelniku, „Spowiedź Laurence’a Jago, urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych”, czyli prawdę i tylko prawdę, taką, jaką najlepiej pamiętam.

Choć czas nagli, spiszę wszystko, co zapamiętałem, bo tylko dzięki tym wszystkim szczegółom zrozumiesz moją historię.

Zapalam nową świecę od ogarka poprzedniej. Ciepły воск krzepnie mi na palcach i przez chwilę wpatruję się w żółty płomień, który skwierczy w wilgotnym przeciągu od okna. Gdzie i kiedy mam zacząć? Pierwszą przyczyną mojego zaangażowania w poniższą opowieść są moje narodziny, ale na to nie mam dziś czasu. Zamiast tego zacznę od przyjazdu w gorące dni czerwca Johna Jaya z Ameryki. Właśnie to wydarzenie ściągnęło mnie z mojego stołka na poddaszu Ministerstwa Spraw Zagranicznych i sprawiło, że na koniec znalazłem się w kręgu podejrzanych.

.....

1 Zwyczajowa nazwa ruchomych figur na wieży zegarowej londyńskiego kościoła św. Dunstana na Zachodzie, co kwadrans uderzającymi w dzwony swoimi maczugami.

2 Black Drop (Czarna Kropla) albo Kendal Black Drop – XIX-wieczne lekarstwo na bazie opium, znane w Wielkiej Brytanii i Ameryce Północnej.

1

Tłum ciał tłoczących się na Newgate Street uderzył we mnie jak wściekła fala powodziowa. „Spotkajmy się przy szubienicy” – głosiła notatka Eglantyny. Widziałem ją tam przy schodach. Płynąłem w jej kierunku, popychany przez tłum. Słońce świeciło na bezchmurnym, błękitnym niebie, upał był duszący, a odór ciasno stłoczonych ciał obrzydliwy. Pozwoliłem, by prąd niósł mnie ulicą, twarze patrzyły na mnie niewidzącym wzrokiem, ręce opierały się na moich ramionach, ciągnęły za płaszcz, wciskały się do kieszeni. Trzymałem kurczowo nowe okulary z zielonymi soczewkami, zdeterminowany, by nie zgubić ich w tym zamęcie. Sprzedawcy opierali się o ściany, z dala od chaosu, zachwalając swoje towary śpiewną paplaniną. Dzieci siedzące na ramionach ojców krzyczały na wpół ze strachu, na wpół z podekscytowania. Jeśli ktoś upadłby pod naporem tłumu, byłby kolejną nieoczekiwaną ofiarą tego dnia. Eglantynie udało się zająć honorowe miejsce. Zasiadła pod gilotyną, ze swoją pomarszczoną, wykrzywioną twarzą starej dewotki, ubrana w obcisły czarny strój. Wcisnąłem się obok niej i włożyłem na nos okulary. Musiałem do niej krzyczeć, by usłyszała mnie w zgiełku.

– Dobry Boże, Eglantyno, to piekło na ziemi!

Takie miejsce na tajne spotkanie wydawało się niedorzeczne, a jednak wszyscy wokoło krzyczeli i nikt się nie słyszał, nawet strażnicy. Oddaleni tylko na wyciągnięcie ręki, ustawiali się na platformie, aby utrzymać jakikolwiek porządek. Eglantyna spojrzała na mnie z wyrzutem. Procesja

ruszyła już z dziedzińca w krótką drogę na szafot. Oboje odwróciliśmy się, by na nią patrzeć. Najpierw szedł kat, za nim zażenowany urzędnik z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, potem kilku konstabli uzbrojonych w pałki, a na końcu blady, żylasty facet, który wyglądał jak chirurg, prawdopodobnie przybyły w nadziei, że dostaną mu się zwłoki. Nastąpiło coś w rodzaju przerwy, po czym pojawili się skazańcy. Wchodzili po schodach z białymi kapturami na głowach i potykali się o własne nogi.

– Trzech naraz! – Eglantyna przeniosła wzrok z trzech mężczyzn na trzy stryczki zwisające z poprzecznej belki. – Będzie trzech naraz?

– Jest ich tylko trzech. Reszta została deportowana.

– Tylko trzech! – rzuciła z obrzydzeniem. Jej zimne, płazie oczy zniknęły całkowicie w fałdach ciała. Zapomniałem, jaka jest ohydna. – Tylko trzech! Na co więc ten cyrk?

W pewnym sensie miała rację. Była to kiepska zbieranina złoczyńców. Starzec oskarżony o fałszerstwo, listonosz skazany za kradzież listów i wątyły młody rabuś, który w panice zabił swoją pierwszą ofiarę. Złodziej potknął się na schodach, a tłum ryknął, po czym zaklaskał.

Zdałem sobie sprawę, że Eglantyna przygląda mi się jak grabarz, kiedy bierze miarę do trumny.

– Słyszałam, że awansowałeś. Starszy referent do spraw rozmów z Amerykanami. Prawie o tobie zapomniałam, dopóki się nie dowiedziałam.

– Więc wiesz więcej ode mnie.

Czy naprawdę kiedyś ją podziwiałem? Naprawdę uważałem za nieszkodliwą? W ostatnich latach nabrałem dziwnej niechęci do marmolady pomarańczowej, a to dlatego, że ona zawsze, nie wiedzieć czemu, pachniała pomarańczami. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy,

uznałem, że jest podobna do mojej matki, samotna w obcym kraju. Pod tym względem była również podobna do mnie.

Mężczyźni na szafocie zostali wepchnięci na miejsca pod stryczkami, gotowi na podróż do wieczności. Jeśli wypowiedzieli ostatnie słowa, zginęły one w zgiełku. Ich kobiety – żony, matki, córki – podeszły, by się pożegnać, ale sytuacja je przerosła. Stały tam oniemiałe. Tylko jedna płakała. Następnie mężczyznom ściągnięto kaptury z głów i zawiązano im na szyjach pętle. Spadali krótko. Dławili się powoli, szarpiąc się i wierzgając nogami na oczach swoich kobiet. Matka młodego rabusia rzuciła się do jego stóp. Ciągnęła go z całej siły, ale nie miała jej tyle, by skrócić mu kark. Wstała, zrezygnowana, z zakrwawionym nosem. Chłopak miotając się, kopnął ją w twarz. Krzyknęła do mężczyzn w tłumie, by jej pomogli, ale z ich strony spotkały ją jedynie szyderstwa.

– A jednak jest widowisko. – Eglantyna zdawała się nieco mniej rozczarowana. – Chociaż tak szybko się skończyło...

Kiedy już byli martwi, wybuchła kłótnia o ubrania i sposób pozbycia się ciał. I to było wszystko.

–Idziemy?

– Nie, dopóki nie przestaną wierzgać.

W bucie listonosza była dziura i miał podarte skarpety. Stary fałszerz był lepiej ubrany, ale mniej waleczny. Już zaczynał sztywnieć. Kapryśny tłum przerzedzał się, a towarzyszący egzekucji zgiełk cichł. Gdy stary fałszerz został odcięty od stryczka, wybuchła kłótnia między katem, chirurgiem i kobietami. Wylądował z hukiem, aż zadrżała poręcz. Eglantyna zerknęła na mnie, ale nie mogła oderwać wzroku od rozbieranych zwłok fałszerza. Wyglądało na to, że kat dochodzi swoich praw do ubrań starca, choć pewnie nie walczyłby tak samo o szmaty i dziurawe buty listonosza. Odwróciłem wzrok z mieszaniną litości

i obrzydzenia. Mała, pomarszczona twarz Eglantyny, podobna do kapucynki z Menażerii Pidcocka, była jednak teraz lepszym widokiem. Nie wierzyłem w ani jedno słowo dotyczące mojego rzekomego awansu, ale w tej chwili z przyjemnością odwracałem uwagę od stłoczonych wokół mnie ciał i lęku przed nagłą lub przewlekłą śmiercią z powodu ich różnorodnych chorób.

– Gdzie słyszałaś tę niedorzeczną opowieść o mnie? – Od dziesięciu lat siedziałem na poddaszu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, dekodując depesze, a na Downing Street nie było żadnych oznak nadchodzących zmian.

– Nie jesteś moim jedynym człowiekiem w Whitehall.

– Nie wiedziałem.

Spojrzała na mnie z politowaniem.

– A skąd miałbyś wiedzieć?

Chirurg dotarł teraz do młodego rabusia i manewrował wózkiem, by przejechać przez przierzadzający się tłum. Matka chłopca zemdliała, a kat ostrożnie cucił ją, pozostając w całkowitej sprzeczności ze swoimi codziennymi obowiązkami.

Eglantyna oderwała się od poręczy, wygładziła suknię i poprowadziła mnie z powrotem pustoszejącą ulicą. Wciąż było gorąco, szliśmy więc w cieniu mijanych budynków.

– Jakim człowiekiem jest amerykański emisariusz?

– Pan Jay? – Popatrzyłem na nią przez chwilę, próbując dobrać słowa. W końcu powiedziałem tylko to, co wiedzieli wszyscy: – Jest zagadką. Rząd ma nadzieję na pokój, ale obawia się, że jego przybycie oznacza wojnę. On sam jest nieodgadniony. Błady, bardzo zimny, wydaje się wyrachowany. Słyszałem plotki, że torturował naszych szpiegów podczas

wojny o niepodległość i po pierwszym spojrzeniu na jego bezbarwną twarz byłem skłonny w to uwierzyć.

– Nie spodziewali się go?

– Nie, pojawił się bez żadnej zapowiedzi. Twierdził, że jego poprzednie listy poszły na dno oceanu, ale nie wiem, czy ktokolwiek w to wierzy. Widziałem go w St. James's Palace, ubranego tak zwyczajnie, że król poczuł się urażony.

Minął nas wóz, wiozący ciało młodego rabusia. Jedna stopa zwisała niebezpiecznie blisko toczącego się koła – przestraszyłem się, że coś mu się stanie, jednak przypomniałem sobie, że przecież nie żyje.

Jednym uchem usłyszałem, że Eglantyna pyta mnie o syna Jaya, Theodore'a, który przybył do Anglii jako sekretarz ojca. Chłopak wydawał się działać bardziej instynktownie niż ojciec, jego włosy niesfornie wymykały się spod peruki. Miał nieśmiały uśmiech.

– Tak, on też tam był – powiedziałem z roztargnieniem. – Młody, pełen wigoru chłopak.

– Być może to szansa dla ciebie. Obaj jesteście młodzi; nawet jeśli, jak widzę, ty nie masz już tyle szwungu.

Wózek zniknął z pola widzenia, a ja odwróciłem się do niej z westchnieniem.

– Nie jestem już taki młody. W tym roku skończę trzydzieści lat.

– A ja pewnego dnia skończę dziewięćdziesiąt, jeśli dożyję. Nie mówmy oczywistości, Laurence. Dla Francji najważniejsze jest, by rozmowy między Jayem a ministerstwem zakończyły się fiaskiem. Ameryka jest naszym naturalnym sojusznikiem i powinna przystąpić do wojny po naszej stronie. Miałoby to ogromne znaczenie dla sprawy. I dla obywatela Robespierre'a.

Robespierre z determinacją rządził swoim ludem za pomocą eksterminacji setek ludzi, a nawet jeśli liczby egzekucji podawane przez gazety były dziesięciokrotnie przesadzone, to i tak zdumiewały. Od zawsze nazywano go nieprzekupnym, niezachwianym. Teraz konsekwentnie realizował swoją politykę terroru.

Wpatrywałem się w moją rozmówczynię.

– Eglantyno, minął ponad rok. Oczekujesz, że wracając do mojego życia, zastaniesz mnie niezmienionym? Nie zrobię tego. Mówisz, że masz innych ludzi w Whitehall. Użyj ich.

Zatrzymała się, a ja szedłem dalej.

– Co słyszałeś o armii?

– Brytyjskiej? – Odwróciłem się ostrożnie.

– Oczywiście, że brytyjskiej. Czy są w odwrocie?

Zastanawiałem się, czy mogę powiedzieć jej coś, czego nie wiedziała już z gazet.

– Sądzę, że mają kłopoty. Austriacy zawarli układ z Francuzami i spieszą się do domu. Lord Moira ruszył na pomoc księciu Yorku oraz jego armii we Flandrii.

– Woda jest mokra, a trawa zielona. Dokąd zmierzają? W głąb lądu czy na wybrzeże?

– Nie wiem.

Zmarszczyła groźnie brwi.

– Nie wiem, a gdybym wiedział, nie powiedziałbym ci.

– Nie przydasz mi się, Laurence.

– Cieszę się.

– Ale wcale cię nie zwalniam.

To był absurd. Uwolniłem się miesiące temu, a ona z uporem stara się znów do mnie zbliżyć. Za jej plecami pakowano na drugi wóz nagie ciało fałszerza, by zawieźć je do grobu dla nędzarzy. Wolałem patrzeć na to haniebane widowisko niż napotkać jej wzrok.

– Poczekaj tylko, aż rozpocznie się proces zdrajcy – odezwał się za nami głos kogoś, kto zbliżał się szybko od strony szafotu.

– Masz na myśli Hardy’ego? Niech mnie diabli, nie będę tego oglądać – odpowiedział mu inny. – Będzie się działo. Kościół i król po jednej stronie, a jakobini po drugiej.

– Niezły młyn – zgodził się pierwszy. – Nie będę za tym tęsknić.

Eglantyna odwróciła głowę, by spojrzeć na tego człowieka, ale on tylko beczelnie wywalił do niej język, po czym przepchnął się obok, wtapiając się w tłum bez twarzy. Rozmawiali o Thomasie Hardym, ostatnim aresztowanym wśród radykalnych reformatorów. W osobliwym języku oskarżenia, został on *wybrany i uwiedziony przez diabła jako fałszywy zdrajca naszego Pana Króla*. Był szewcem i sekretarzem czegoś, co nazywało się Towarzystwem Korespondencyjnym. Miało ono niepokojącą liczbę oddziałów w całym królestwie, a jego członkowie bardzo nie podobali się ministerstwu. Zagrozili, że zorganizują masowe protesty, aby zażądać głosowania, a ministerstwo, pamiętając Paryż 1789 roku, zadrżało, aresztowało prowodyrów i wtrąciło ich do Tower. Zaskakujące, jak niewiele nauczyli się po upadku Bastylii.

Ale w tamtym czasie nie wiedziałem nic więcej o Hardym, Boże dopomóż, poza tym, że najwyraźniej *zamierzał złamać i zakłócić pokój i powszechny spokój tego królestwa; wzniecić i rozniecić powstanie, bunt i wojnę przeciwko naszemu Panu Królowi; obalić i zmienić władzę ustawodawczą, władzę i rządy obecnie należycie i szczęśliwie ustanowione w tym królestwie; pobawić naszego wspomnianego Pana Króla*

królewskiego stanu, tytułu, władzy i rządu tego królestwa; oraz doprowadzić i skazać naszego wspomnianego Pana Króla na śmierć. Wydawało się to ambitnym programem jak na zwykłego angielskiego szewca.

Eglantyna otworzyła usta, jakby chciała powiedzieć coś na ten temat, ale potem potrząsnęła głową.

– Śmierć przez powieszenie to nieprzyjemny los – odezwała się tylko, zamyślona. – Taki angielski, taki nieudolny, taki niegodny. Kiedy będę umierać, niech będzie to gilotyna... Albo moje łóżko.

Nie odpowiedziałem, ale gdy wracałem do biura, zdałem sobie sprawę, że jeśliby naprawdę tego chciała, mogłaby mnie nieco przyprzeć do muru. Zastanawiałem się, kim może być jej drugi szpieg w Whitehall i dlaczego nie może zdradzić jej planów armii. Ale wtedy, z tego, co wiedziałem, mogła to być jedynie dozorczyńni lub sprzątaczką ze szmatą na miotle i wiadrem, bez dostępu do prawdziwych informacji.

2

Ruszyłem w długą drogę powrotną do pracy. Szedłem Fleet Street, niedaleko której mieszkam. Ulica wyraźnie podupadła, od czasu gdy została wybrukowana. Z hałasem wyrzuca swoją nabrzmiałą zawartość do Tamizy pod mostem Blackfriars. Co drugi dom to sklep z przypadkowo rozłożonymi towarami. Stare kobiety siedzą na progach z pstrokatymi kolekcjami bezużytecznych przedmiotów i oferują połamane kosze, stare laski, nawet pojedynczy lewy but. Ale gdzieś w tym tłumie jakiś jednonogi klient pewnie będzie go szukał – być może będzie to ranny żołnierz, zwolniony ze służby i pozostawiony samemu sobie, zarabiający na życie najlepiej, jak potrafi.

Hałas, błoto, nędza i fala drobnych monet krążą nieustająco w górę i w dół tej ulicy.

Przeszedłem obok Temple Bar i mijałem właśnie menażerię na Strandzie, kiedy tuż przy mnie pojawił się Will Benson. Pracował w Foreign Office pod Numerem Dziesiątym, na stanowisku bardzo podobnym do mojego. Czasem wpadaliśmy razem na kotlety do Salutation and Cat albo spotykaliśmy się na zabawach w St. James's Park. Choć był tylko młodszym urzędnikiem, tak jak ja, i pracował na Downing Street zaledwie od pięciu lat, dzięki swojemu pogodnemu usposobieniu był dobrze znany i lubiany w Whitehall.

Z klatki u podnóża schodów przyzywała nas majna brunatna³, zapraszając, byśmy weszli na górę i obejrzelі zwierzęta. Will prawie nie

zwrócił na nią uwagi. Był bardzo blady i tylko skinął mi głową. Nie zapytał nawet, co porabiałem ostatnio, a ja, gdy rzuciłem okiem na jego twarz, też o nic go nie pytałem. Nawet gdy czułem się wyśmienicie, miał ziemistą cerę, a ciemne włosy wystawały mu spod szarej peruki. Normalnie nikt nie zwracał na to uwagi, gdyż całą jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech. Teraz był popielatoszary, a jego zwykle wesołe oczy wyglądały jak ciemne dziury. W gorącym słońcu zdawał się emanować bezdenną rozpaczą. Czy był chory? A może otrzymał jakieś straszne wieści?

– Dobry Boże, co się z tobą dzieje? Wyglądasz... – Tak naprawdę nie wiedziałem, jak wyglądał. Nie potrafiłem dobrać odpowiednich słów, by opisać to, jak na mnie patrzył, tę pustkę, którą ziały jego zwykle wesołe oczy. – Czy coś...?

– Nie! – Przyspieszył kroku, gdy znaleźliśmy się na hałaśliwym Charing Cross. – Nic, zupełnie nic. – I przebiegł w poprzek drogi, prosto pod koła wozu budowlanego, lekkomyślnie narażając zdrowie.

W oddali majaczył Westminster z jego niezwykłą plątaniną rozpadających się średniowiecznych murów obronnych. Tutaj, w Whitehall, chodniki nie były tak zatłoczone, przemierzali je głównie urzędnicy, a budynki stawały się coraz bardzo eleganckie. Dogoniłem Willa, gdy skręcał w Downing Street, i zatrzymaliśmy się przed Numerem Dziesiątym. Położyłem mu rękę na ramieniu.

– Zobaczymy się wieczorem w parku? Wyglądasz jak ktoś, kto bardzo potrzebuje drinka.

Jako wiejscy chłopcy przeflancowani do miasta powinniśmy być sprzymierzeńcami, ale moje życie obrało dziwny bieg i nie mogłem sobie pozwolić na zbyt dużą poufałość z kimkolwiek. Chociaż poruszaliśmy się w tych samych kręgach, rzadko rozmawiałem z nim sam na sam.

Wiedziałem, gdzie mieszka, ale nigdy go nie odwiedzałem, a już na pewno nigdy nie zapraszałem go do mojego obskurnego mieszkania. Nie było szczególnego powodu, dla którego miałby mi się zwierzać. W końcu, gdy cisza stała się niezręczna, ukloniłem się.

– Cóż, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował...

Will milczał, opuściłem go więc i przeszedłem przez ulicę do zacienionego budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

W holu było chłodno, ale gdy wspinałem się po trzech piętrach do swojego pokoju, temperatura rosła nieubłaganie. Na poddaszu było duszno od słońca nagrzewającego dachówki i zamkniętych okien, które chroniły przed szkodliwym powietrzem. Czułem, jak pot zbiera mi się na czole. Przyciągnąłem do siebie stos papierów, które przybyły z Dover w nocy, i przesunąłem okulary na czoło. Symbol w prawym górnym rogu pierwszego arkusza był kluczem do szyfru. Wyrzucając z pamięci Willa Bensona i jego kłopoty, sięgnąłem na półkę po właściwy tom, otarłem pot z czoła i otworzyłem książkę na odpowiedniej stronie.

Późnym popołudniem zostałem wezwany do wygodnego, starego gabinetu sir Jamesa Burgesa, z długimi, zakurzonymi mahoniowymi półkami na książki i staroświecką tapetą. Gabinet ma bezpośrednie połączenie z ukrytą siedzibą ministra spraw zagranicznych. Lord Grenville ma dwóch podsekretarzy: jednego politycznego, drugiego do wszystkich spraw. Sir James, podsekretarz do spraw politycznych, jest starszy rangą. Spodziewałem się, że zostanę gdzieś wysłany w jakiejś prostej sprawie, jednak on kazał mi usiąść. Następnie przez ukryte w regale drzwi wszedł pan Aust, podsekretarz do wszystkich spraw. Jest to człowiek o równie niskim urodzeniu jak moje, ale z długą i zasłużoną historią w departamencie. Zdjął buty, jak to często robił pod koniec dnia, kiedy zaczynały go szczypać stopy. Było to przyzwyczajenie, którego my,

urzędnicy, bardzo nie lubiliśmy – trudno go było usłyszeć, kiedy szedł korytarzami.

Aust usiadł na wyściełanym poduszkami siedzisku przy oknie. Kurz mienił się w świetle słonecznym, a sir James zwrócił ku mnie swoją księżycową twarz.

– Ta sprawa z panem Jayem całkowicie nas zaskoczyła – powiedział. – Parlament wkrótce kończy obrady okresu letniego, w mieście nie ma już prawie nikogo. W departamencie jest nas tylko jedenastu, jeśli w ogóle można wliczyć młodych dżentelmenów na górze. Jak długo jest pan już z nami?

– W Boże Narodzenie minie dziesięć lat, sir. Dziesięć skromnych lat na poddaszu, a wcześniej jeszcze trzy, w kancelarii pana Gibbsa w Lincoln's Inn.

– Czy to już naprawdę dziesięć lat? No cóż. A teraz niech mi pan powie, Jago, co pan wie o kwestii amerykańskiej.

Bardzo młody urzędnik, niewiele starszy od ucznia, wszedł z tacą herbaty. Znajdowały się na niej trzy filiżanki, a gdy chłopiec je napełniał, przeniosłem wzrok z twarzy sir Jamesa na Austa. Ta bezprecedensowa uprzejmość zdawała się sugerować, że człowiek Eglantyny w Whitehall był jednak dobrze poinformowany. Teraz również ona podsunęła mi odpowiedź.

– Wiem, że Francja stara się wciągnąć ich do wojny po swojej stronie.

Dwaj podsekretarze wymienili spojrzenia, najwyraźniej pod wrażeniem mojej przedwczesnej wiedzy o sprawach publicznych.

– Bardzo dobrze, panie Jago, bardzo dobrze. A jeżeli mamy temu zapobiec, trzeba będzie zasięgnąć wielu porad, załatwić wiele spraw i wykorzystać cały arsenał środków dyplomatycznych. Jeśli się pan zgodzi, będzie pan protokołował spotkania lorda Grenville'a i pana Jaya

oraz działał jako główny sekretarz komitetu zainteresowanych dżentelmenów.

Zostałem uprzedzony, ale to był większy awans, niż mogłem się spodziewać. Od tamtego czasu wydarzyło się tak wiele, że trudno mi dokładnie przypomnieć sobie, jak się czułem. Pomimo niepokoju związanego z ponownym pojawieniem się Eglantyny, myślę, że byłem zadowolony – bardzo zadowolony – i nie przeczuwałem nadchodzącej katastrofy.

– Pan Jay nie jest zwykłym wysłannikiem, panie Jago. Podpisałby Deklarację Niepodległości, gdyby był wtedy w Filadelfii. Negocjował traktat pokojowy między nami w Paryżu w osiemdziesiątym czwartym, a do niedawna pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych. Tak, tak, rzeczywiście dostojny dżentelmen, godny najwyższego szacunku. Przypuszczam, że widział go pan w pałacu?

– Tak, sir. – Przypomniałem sobie, że to właśnie w pałacu po raz pierwszy zobaczyłem Philpotta. Trudno sobie wyobrazić czasy, zanim jego obecność wypełniła moje życie i trudno też wyobrazić sobie przyszłość bez niego. Jednak tamtego dnia w pałacu tylko dyskretnie śmiałem się z niego. Jego ciepły zaśpiew z Hampshire przyprawiał dworzan o dreszcze. Zbliżył swoją czerwoną twarzą stanowczo zbyt blisko króla.

– Tak, panie, mój ojciec był farmerem, a ja jako chłopiec często zarabiałem grosze, płosząc wrony z jego zboża. – A potem, na pytanie wyszeptane zbyt cicho, by inni mogli je wychwycić, odpowiedział wesoło: – Przekłęci ateści i jakobini, i im podobni. Nie martw się, panie, William Philpott jeszcze ich pokona.

Ktoś wspomniał, że jest dziennikarzem, który właśnie wrócił z Filadelfii, ale dlaczego w ogóle się tam znalazł, pozostawało zagadką.

Patrząc, jak sir James popija herbatę, nie myślałem jednak o Philpotcie.

– Czy często spotykał pan lorda Grenville’a, odkąd przybył do departamentu?

– Nie, sir. Prawie wcale.

– Przekona się pan, że jest bardzo miłym dżentelmenem i znajdzie się pan z pewnością w centrum wydarzeń.

Urzędnik wychylił głowę zza ukrytych w regale drzwi.

– Lord Grenville chce pana widzieć, gdy będzie pan miał chwilę, sir.

– Oczywiście. – Sir James wstał, znużony i zrezygnowany.

Aust zakaszlał dyskretnie.

– Pańska peruka, sir Jamesie.

– Czy jest...?

– Obawiam się, że tak.

Sir James szarpał nakryciem głowy w tę i z powrotem, aż Aust skinął głową, a następnie przepchnął się przez drzwi ukryte pod tapiserią do gabinetu lorda Grenville’a.

– A więc, jeśli nie ma już żadnych bieżących spraw... – Aust wstał, gotów mnie odprawić.

– Cóż, sir... – Po raz dwudziesty w ciągu godziny wcisnąłem okulary na wilgotny nos.

– Zastanawia się pan nad swoim wynagrodzeniem? Wyobrażam sobie, że zostanie nieco zwiększone, jeśli będzie to dla pana pomocne.

Wierzyłem kiedyś, że za dwadzieścia lat Downing Street nie będzie już istnieć, moi szefowie będą godnymi podziwu filozofami, a ja zajmę

miejsce któregoś z nich. Ale kiedy sprzątałem biurko na poddaszu, cieszyłem się ze skromniejszego awansu. Chociaż nie miałem większego prawa głosu niż zdrajca Thomas Hardy, jednak diabeł, który go uwiódł, w moim przypadku przyznał się do porażki. Teraz byłem gotów przysiąc wierność lordowi Grenville'owi i jego podsekretnarzom.

Moje nowe biuro miało wielkość pudła na kapelusze i znajdowało się w rogu pomiędzy schodami a kominem, z widokiem na zaułek prowadzący na Fludyer Street. Toczyła się tam ożywiona rozmowa między urzędnikami z poddasza a sprzedawczynią truskawek. Chłopcy namawiali ją, by przymocowała koszyk do spuszczonej przez nich sznurków, a ona wzbraniała się w obawie o bezpieczeństwo swoich zapasów. Słuchając tej kłótni, rozstawiłem kilka skromnych mebli, które sobie znalazłem w składziku: antyczny stojak na peruki, zjedzony przez korniki regał na książki i starą chłodziarkę do wina, która mogła służyć jako podnózek. Pracowałem tak niemal do końca dnia. Zdjąłem perukę, położyłem ją ostrożnie na stojaku i przeczesalem dłońmi wilgotne włosy. W nowym pokoju było tylko trochę mniej duszno niż na poddaszu. Okno było zabite gwoździami, otworzyłem więc drzwi, aby wpuścić nieco powietrza z holu poniżej.

– Hm, hm. – Lord Grenville, minister spraw zagranicznych, stał w progu i obserwował mnie.

Wyprostowałem się, ukloniłem, mocniej wcisnąłem okulary na nos i jednocześnie sięgnąłem po perukę, ale Grenville tylko machnął ręką. Był na swój sposób przystojny, miał duże oczy i wydatne czoło.

– Jest pan moim nowym urzędnikiem. Pan Jago, jak sądzę?

– Tak, sir, to znaczy mój panie. – Często widywałem Grenville'a, ale nigdy z tak bliska, a już na pewno nigdy nie zamieniłem z nim ani słowa. Miał przyjemny, rzeczowy głos.

– Mam mały problem, a nigdzie nie mogę znaleźć tego przekłętego zarządcy biura. To trochę poniżej naszej godności, ale minister spraw wewnętrznych ma przyjść tu wkrótce, a mój pokój jest w stanie całkowicie nieodpowiednim do przyjmowania gości. Czy zechciałby mi pan pomóc?

Grenville ruszył przez podest i otworzył drzwi do swojego gabinetu. Podążyłem za nim i zatrzymałem się w progu, nieco zdumiony.

Duże okno wychodziło na park, a ja zamrugałem wobec nagłej jasności. Potem zauważyłem wystawę kwiatów, która wypełniała całe pomieszczenie.

– Wygląda jak pokój jakiejś aktorki, prawda? – Grenville uśmiechnął się w przypływie dobrego humoru. – Minister spraw wewnętrznych nigdy nie pozwoli mi o tym zapomnieć, jeśli zastanie u mnie taki bałagan.

– Co to jest, milordzie? – Wciąż chłonałem wszystko: powietrze, światło i ocean roślin, ich błyszczące zielone liście i grube pąki. Niektóre z nich miały nadzwyczajne kwiaty, których niezliczone płatki mieniły się odcieniami bieli i różu.

– Piwonie, panie Jago, przysłane dzięki uprzejmości starego przyjaciela, nieustraszonego kolekcjonera roślin w Indiach Wschodnich. Popełniłem błąd, mówiąc mu, że moja żona pasjonuje się tymi roślinami i ma ambicję wyhodowania niebieskiej odmiany, czego nigdy jeszcze nie udało się jej osiągnąć. – Grenville również przyglądał się temu wszystkiemu, nieco oszołomiony. – Ale nie sądziłem, że przyśle ich aż tyle. Co, u diabła, mamy z nimi zrobić?

– Część możemy umieścić w moim pokoju. A niektóre na poddaszu.

– Niech tak będzie. I ośmielę się powiedzieć, że kilka zostawię z radością w gabinecie.

Gdy przechodziłem przez podest z naręczem roślin, z poddasza zbiegł urzędnik z plikiem tekstów po transliteracji. Chwilę później Grenville

wszedł za mną do mojego pokoju, trzymając w ręku kartki. Wydawało się, że całkowicie zapomniał o piwoniach.

– Obawiam się, że to kolejne złe wieści z Flandrii. – Włożył mi papier do ręki. W samą porę przypomniałem sobie, że jako urzędnik nie powinienem rozumieć francuskiego, oparłem się więc pokusie przeczytania wiadomości od razu.

– Czy zrobi pan kopię i zanieś ją pod Numer Dziesiąty? Proszę upewnić się, że trafi prosto w ręce George’a Canninga. Jest moim łącznikiem z premierem w sprawach wojskowych.

– Oczywiście, milordzie.

Z pewnym trudem pośród lasu roślin skopiowałem notatkę. Wiadomość była napisana najtrudniejszymi do odszyfrowania bazgrołami, jakie kiedykolwiek czytałem. Nie było to urzędnicze, okrągłe pismo, wszechobecne w całym departamencie. Nie mogło też wyjść spod ręki dżentelmena, choć swego czasu widziałem kilka okropnych okazów takiego pisma. Kiedy je odczytałem, z łatwością zweryfikowałem jego poziom znajomości francuskiego.

Rzeczywiście były to złe wieści. Austriacy wycofywali się w kierunku Renu, podczas gdy Anglicy uciekali w stronę wybrzeża, do Ostendy. Gdyby Francuzi się o tym dowiedzieli, mogliby nas od razu zmiażdżyć, ponieważ nasze siły były podzielone przez Skaldę. Francuzi nie zauważyli jeszcze swojej szansy i da Bóg, że nigdy jej nie dostrzegą.

Usiadłem ponownie i spojrzałem na zapisane słowa, przypominając sobie poranne pytania Eglantyny o ucieczkę armii: „W głąb lądu czy na wybrzeże?”. To musiała być część tej samej sieci wywiadowczej, w której się poruszała. Teraz, gdy zostałem sprowadzony z poddasza, miałem być jej częścią. Nic dziwnego, że szukała ze mną kontaktu.

Kiedyś, niech Bóg mi wybaczy, przekazywałem jej to, czego chciała. Od czasu do czasu, we wczesnych dniach rewolucji, zdradzałem nazwisko jakiegoś arystokraty uciekającego z Francji. Wtedy moje słowa nie miały większego znaczenia ani Eglantyna nie stanowiła większego zagrożenia, będąc tylko starą kobietą. Ale tak było przed wojną. Teraz gazety krzyczały, że w Londynie, wszędzie – od doków po Izbę Gmin, grasują dziesiątki szpiegów. Nie można było ufać ani francuskim lokajom i służącym, ani fali emigrantów-uchodźców, ani ogólnie tłumom obcego elementu, który wypełniał ulice.

A ja z pewnością byłem obcym elementem, czającym się na zaufanej pozycji. Byłem synem kornwalijskiego farmera i francuskiej wdowy, którzy poznali się pięć lat przed moimi narodzinami w Roscoff. Na rozmowie kwalifikacyjnej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w roku osiemdziesiątym czwartym nie wspomniałem, że mówię płynnie po francusku, bo wtedy nie wydawało się to mieć znaczenia. Później spuściłem zasłonę na lato osiemdziesiątego dziewiątego, kiedy matka poprosiła mnie, abym wrócił z nią do domu, co spowodowało, że znaleźliśmy się w Roscoff w środku rewolucji.

Odkąd został zgilotynowany Ludwik i w lutym dziewięćdziesiątego trzeciego wybuchła wojna, nie pisałem nawet słowa, a jedynym obciążającym mnie przedmiotem był francuski pistolet, który Eglantyna dała mi, gdy zawarliśmy nasz sojusz. W osiemdziesiątym dziewiątym cała Anglia była tak zachwycona rewolucją francuską, że być może jeszcze by mi wybaczone, gdybym w odpowiednim momencie wyznał prawdę odpowiedniej osobie. Ale nie przemówiłem we właściwej chwili i nie zwróciłem się do kogoś właściwego. A teraz, wraz z wojną i nowym terrorem w Paryżu, wszelkie szanse na przyznanie się do winy przepadły na zawsze.

.....

3 Ptak z rodziny szpakowatych, naturalnie występujący w Azji.

3

Kiedy zaniósłem kopię pisma na drugą stronę ulicy, pod Numer Dziesiąty, zastałem George'a Canninga w przedsionku biura Pitta. Wydzierał się właśnie na biednego Willa Bensona, który wyglądał nie lepiej niż wtedy, gdy rozstałem się z nim na ulicy. Nie chciał wówczas ze mną rozmawiać, a teraz jego problem stał się boleśnie czytelny. Wpatrywał się pustym wzrokiem w ziemię, co tylko doprowadzało Canninga do jeszcze większego szału.

– Czy nie mówiłem panu tego setki razy? Ale pan nadal uparcie powielasz te same błędy. Rzadko widuję tak głupią bezczelność i mam ochotę udusić cię gołymi rękami.

Spotykałem Canninga, od kiedy przyjechał z Oksfordu, ale niewiele o nim wiedziałem. Tylko tyle, że wszedł do polityki jako skrajny wig, ale szybko stał się radykalnym torysem, gdy zyskał nadzieję na patronat premiera. Wydawało się, że nikt go nie lubi, a teraz zobaczyłem, że pracuje się z nim diabelnie trudno. Co zrobił Will, by wzbudzić taki gniew, było zagadką; o ile mi wiadomo, był tak samo lubiany w biurze, jak w tawernie.

Will coś mamrotał, ale Canning nawet go nie słuchał.

– Nie, nie, wyraziłem się jasno i zdecydowanie, mówiłem to sto razy i więcej tego nie powtórzę. Proszę zabrać swoje rzeczy i wyjść. Nigdy więcej nie chcę widzieć pańskiej żalosnej osoby na Downing Street.

Po tym publicznym zwolnieniu, dokonanym pomimo, że byłem obok, dosłownie opadła mi szczeka. Gdyby był tu ktoś inny, upokarzająca wiadomość obieglaby Whitehall w ciągu godziny. Will przeszedł obok bez słowa, omijając mnie wzrokiem. Canning odwrócił się, by wziąć ode mnie notatkę, zupełnie jakby nic się nie stało. Spojrzał na mnie – jego chłodne szare oko i długi nos sprawiały wrażenie, jakby był dziesięć lat starszy ode mnie. A był bezdusznym dwudziestoczterolatkiem, z manierami – co musiałem niechętnie przyznać – które mogłyby spodobać się kobietom.

– Od Grenville’a? – Przeczytał list po francusku z większym trudem niż ja, po czym znów na mnie spojrzał. Uśmiechnął się, ale niezbyt miło: – Dziękuję, Mercury. Jest pan nowym urzędnikiem Grenville’a?

– Tak, sir.

– Kim jest pański ojciec? Czy go znam?

– Mój ojciec nie żyje, sir. – Celowo byłem obcesowy. Wiedziałem, że wziął mnie za jednego z młodych dżentelmenów, którzy snuli się po budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych, tylko udając, że pracują. Nie miałem ochoty skazywać się na pogardę jak biedny Benson.

– Ale miał chyba jakieś nazwisko? – Przyglądał się uważnie moim zielonym okularom i mnie samemu. – Dobry Boże! Proszę nie mówić mi, że Grenville awansował kolejnego przeciętnego pana Austa?

Nie odpowiedziałem, a on znów zerknął na wiadomość.

– Cóż, zakładam, że zasłużyłeś pan na awans i nie jesteś aż takim ignorantem jak reszta. – Nastawił na mnie małą urzędniczą przynętę. – Wiesz, gdzie... – Ponownie spojrzał na moją kartkę i przybrał nedorzeczny akcent, który najwyraźniej miał być francuski. – Wiesz, gdzie leży *Oostende*?

Usłyszałem z ulgą, że ktoś pojawił się za moimi plecami i zobaczyłem, jak Canning przenosi wzrok ponad moje ramię.

– Od pana Jaya, sir. – Głos miał nieznany mi akcent. Odwróciłem się i zobaczyłem czarnoskórego mężczyznę w nienagannym stroju, który podał mu przyniesioną przez siebie notatkę. Skinąłem mu uprzejmie głową, ale zignorował mnie tak samo, jak zignorowałby żuka pełzającego po stopie. Patrzył, jak Canning wsuwa nóż pod pieczęć i otwiera list. Canning spojrzał na nas obu:

– Dziękuję, panowie – powiedział z kłującą pogardą. – Wracajcie na poddasze, panie bezimienny urzędniku, i do budy, panie...

– Williams, sir. – Człowiek Jaya był niewzruszony. – Pan Peter Williams, do usług.

Zazdrościłem mu niezachwianego opanowania. Przed biurem Canninga skłonił się i odszedł, z łatwością płynąc poprzez elegancki tłum w kierunku Pall Mall. Kilka osób odwróciło głowy, by na niego spojrzeć, ale tylko strój dżentelmena odróżniał go od czarnych lokajów w jaskrawym przyodziewku, którzy byli dość częstym widokiem wśród zamożnych. Śmiem twierdzić, że większość uznała go za nowinkę, modny dodatek do jakiegoś bogatego dżentelmena. Z tego, co wiedziałem, był właśnie kimś takim.

Przed powrotem do domu o zmroku zjadłem kotlet z baraniny w Cock na Haymarket. Gdy dotarłem do Charing Cross, zapalano właśnie latarnie i ulice były tłoczne jak w południe. Powozy mijały mnie, wioząc towarzystwo przez rzekę do Vauxhall Gardens lub w górę Strand, do opery na Drury Lane. Handlarki z targu niosły na głowach puste kosze. Przypomniałem sobie, jak pewnego ranka goniłem Willa Bensona przez podobny tłum i pod wpływem impulsu skręciłem w dół Northumberland Street do jego mieszkania. Planowałem chyba zabrać go na drinka,

wymienić kilka złośliwych uwag na temat George'a Canninga i zaspokoić swoją ciekawość, jeśli będzie skłonny opowiedzieć mi całą tę historię.

Kiedy jednak zapukałem, dopiero po dłuższej chwili zareagowała jego gospodyni. Ledwie uchyliła drzwi.

– Nie ma go tutaj, a nękanie nie sprawi, że pojawi się szybciej.

– Słucham?

Nie widziałem jej, ale ona najwyraźniej badała mnie wzrokiem. Drzwi otworzyły się nieco szerzej.

– Przepraszam, przez to ubranie myślałam, że to ktoś inny.

– Szukam lokatora szanownej pani, pana Bensona.

– Pan też? Cóż, tak jak mówiłam temu drugiemu, nie widziałam go cały dzień.

Nie przejąłem się zbytnio. Robiło się późno. Gog i Magog wybijali godzinę uniesionymi maczugami, a banda zdziczałych dzieci z Lincoln's Inn Fields gromadziła się na noc wokół Temple Bar, dla bezpieczeństwa skupiając się przy lampach jak ćmy.

Gdy przechodziłem pod starym kamiennym łukiem, dziecię nieokreślonej płci, może pięcioletnie, zerknęło na mnie nieufnie zmęczonym wzrokiem. Zawołała do mnie jakaś dziewczyna, ale tylko machnąłem ręką i poszedłem dalej. Podziwiałem efekt, jaki dało światło padające z drzwi na jej nagie białe piersi, ale była niebezpiecznym towarem, który – jak wiedziałem dobrze – nie był wart zakupu.

Bóg mówi nam, że grzechem jest rozlewanie nasienia życia, ale nie bierze pod uwagę współczesnych warunków życia. Czasami myślę, że powinien wydać poprawiony zestaw zakazów, ponieważ, jak wielu innych urzędników w Whitehall, zmagalem się z nieustannym problemem abstynencji. Byłem zakochany w pasierbicy pana Austa, Anne, prawie tak długo, jak pracowałem na Downing Street, ale wiedziałem, że jest poza

moim zasięgiem, dopóki nie będę miał znacznie lepszego dochodu niż moja skromna urzędnicza pensja. Wciąż jednak byłem młodym mężczyzną z młodzieńczymi pragnieniami. Bieda sprawiała, że czyste damy z Covent Garden były dla mnie całkowicie nieosiągalne, z kolei pospolite dziwki były jak belladonna – cieszyły oko, ale prawdopodobnie zawierały truciznę. Nauczyłem się więc kontrolować pragnienia za pomocą odrobiny uspokajającego laudanum. Wiedziałem już, ile kropli Godfrey's Cordial⁴, zażytych przed udaniem się na spoczynek, zapewni mi spokojny sen, wolny od podniety i pozwoli przetrwać cały następny dzień.

Gdy zbliżałem się do mojego mieszkania, zauważyłem krzepkiego faceta, który wydał mi się znajomy. Kopał piętami próg pustego sklepu obok i obserwował stado krów wracających z wieczornego dojenia. Był ubrany jak rolnik i ocierał pot z czoła dużą chustką. Gdy spotkałem się z nim wzrokiem, zobaczyłem, że też mnie rozpoznaje. Zanim wyjąłem klucz, już mnie sobie przypomniał.

– Urzędnik lorda Grenville'a, jak sądzę? – Zamiast dworskiego ukłonu wyciągnął prawą rękę. – William Philpott, do usług.

– Laurence Jago, do usług. – Oczywiście, że go znałem. Był tym śmiesznym człowiekiem z pałacu, który tak familiarnie rozmawiał z królem. Jego dłoń była twarda i zrogowaciała, jak dłoń mojego ojca, a on sam przyglądał mi się ze szczerą ciekawością, niebieskimi jak porcelana oczami osadzonymi w czerwonej twarzy.

– Tak, tak myślałem, że cię znam. To przez te przekłète zielone okulary. Jak ty w ogóle przez nie widzisz?

Nie obraziłem się. W trosce o swoje zdrowie godziłem się na te uwagi, ponieważ aptekarz zapewnił mnie, że rażące słońce tego niezwykle gorącego lata oślepi moje słabe oczy. Wyciągnąłem rękę.

– Długo zostaniesz w Anglii?

– Mam nadzieję, że wystarczająco długo, by uporządkować ten bałagan z Jayem. Lord Grenville potrzebuje mojej rady, ale niech mnie diabli, to miasto to ropiejący wrzód i opuszczę je tak szybko, jak tylko będę mógł. – Wyglądało na to, że na kogoś czeka, bo najwyraźniej stracił zainteresowanie moimi okularami i niecierpliwym wzrokiem lustrował ulicę w górę i w dół. – Prezydent Waszyngton ma za sobą ujadający tłum, ale dobrze wie, że nie stać ich na walkę z nami. Wysłał Jaya po coś, co ich uspokoi, zanim Jefferson popchnie ich do wojny. – Spojrzał znów na mnie i jeszcze bardziej się napuszył. – Przez te dwa lata działałem w Filadelfii w imieniu Anglii i zadałem wiele ciosów przeklętym demokratom.

– Słyszałem, że pańskie pismo jest... – szukałem słowa, które odpowiednio by je opisało – ostre.

– Premier nazwał moje wysiłki nieocenionymi – zaciętrzewił się. – Chcą raczej wskazać kierunek, w którym „Cannon” odda swój pierwszy wystrzał⁵, i są gotowi sownie za to zapłacić.

– „Cannon”?

– Moja nowa londyńska gazeta, sir, gotowa, by stanąć na burcie narodowego okrętu i chronić kraj głośnym wybuchem.

To tłumaczyło jego obecność w pałacu.

– Wspaniały tytuł. Życzę satysfakcji z pańskiego prochu.

– Prochu i kul, sir. Proch i kule to wszystko, czego potrzeba. – Zatarł ręce, a jego zaciętą twarz rozpromienił rozbrajający, uroczy uśmiech. –

Ale czy tobie nie marzy się aby teraz kariera dziennikarska? Może mógłbym cię skusić? Sam wszedłem do tego zawodu całkiem przypadkowo, zmuszony do walki piórem i atramentem przez tych przeklętych Amerykanów. Uważam, że to bardzo dobre zajęcie. Najwspanialszy zawód na świecie, sir!

Przez chwilę mnie to kusilo. Był taki duży, taki pełen życia – miał wszystko to, czego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zdecydowanie nie było. Uśmiechnąłem się, bo widziałem, że z jego strony to jedynie uprzejmość, i zmieniłem temat.

– Naprawdę uważa pan to miasto za ropyjący wrzód?

– Och... – Zerknął na brud i nędzę Fleet Street. – Nie tę okolicę, przyznaję. To miejsce mi odpowiada, przywodzi na myśl Basingstoke, gdzie się urodziłem. Ale te przekłete połączane ulice i ci bezwartościowi zjadacze podatków w Whitehall! Oni, proszę szanownego pana, są obrazą dla zdrowych brytyjskich wartości.

Było jasne, że obrażanie się na cokolwiek, co twierdził ten człowiek, byłoby bezcelowe, więc odpowiedziałem bez urazy.

– Musi pan wiedzieć, że moja pensja również pochodzi z publicznej kasy. Czy pocieszy pana fakt, że jej połowa trafia bezpośrednio do kornwalijskiego gospodarstwa mojej matki? – Tak rzadko wspominałem o domu, że ledwo mogłem sobie przypomnieć jego łagodne światło, zielone, wilgotne lasy pośród jałowego, kamienistego krajobrazu.

– To farma, prawda? – Philpott spojrzał na mnie innym wzrokiem. – W takim razie niech mi pan pozwoli, sir, zaryzykować stwierdzenie, że obaj jesteśmy ludźmi ziemi przeszczepionymi na papier i atrament. – Wydawał się dość zadowolony z takiego stanu rzeczy. – A teraz, Laurence, mój chłopcze, przyszedłem obejrzyć ten sklep. Jak ci się podoba Fleet Street jako dzielnica?

Właśnie zbliżała się do nas mała, energiczna postać, wymachując pękiem kluczy. Po kolejnym uścisku dłoni zostawiłem Philpotta jego sprawom i przeszedłem przez drzwi swojego mieszkania.

Moja stara gospodyni, Dora, drzemała w uciążliwym upale i ciemności kuchni, gdzie tylko węgle żarzyły się na umierającym ruszcie. Nad nią jak

zwykle rozwieszone było pranie, fragmenty odzieży zwisały bezwładnie, jak rząd trupów. Kiedy wszedłem, ocknęła się i podciągnęła mocno na nogi, poklepując się po kieszeniach, a następnie podniosła szorstką, czerwoną dłoń, by sprawdzić, czy pranie jest suche.

Pan Gibbs również drzemał, ale teraz wynurzył się z kosza, przeciągnął i podszedł, wydając swój dziwny pomruk, coś pomiędzy szczekaniem a warczeniem. Stary Pan Gibbs był zwierzęciem o wilczym wyglądzie, nonszalanckim chodzie i niepokojącym spojrzeniu.

– Czy bestia była grzeczna?

– Średnio. Gapił się na mnie jak stary Nick. To cud, że chleb nie skłął.

– Dora wyciągnęła list zza żelazka na kominku. – Do ciebie. Przyszedł dziś rano.

Był od mojej matki, a ja podniosłem go do samych oczu, by rozszyfrować niewyraźne ścieżki atramentu w matowym, czerwonym mroku ognia. Pisała, że jest zbyt sucho, plony więdną na polach, a ona tańczyłaby jak Indianin, gdyby miało to przynieść deszcz. *Ten upał musi sprawiać, że Londyn jest bardzo niezdrowy, więc chciałabym, żebyś wrócił do domu, jeśli jesteś w stanie – ale, voilà, powtarzam to w każdym liście.* Na odwrocie kartki znajdował się dopisek, tak niewyraźnie napisany, że dopiero po chwili zorientowałem się, że mój brat John został pobity w Helston jako brudny Francuz i kazano mu „wracać do domu”.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

⁴ Godfrey's Cordial był lekiem patentowym, zawierającym laudanum w słodkim syropie, powszechnie używanym jako środek uspokajający dla niemowląt i dzieci w wiktoriańskiej Anglii.

⁵ Cannon – (ang.) armata, działo; stąd nawiązanie do wystrzału.

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

NOTA HISTORYCZNA

Dostępne w wersji pełnej

PODZIĘKOWANIA

Dostępne w wersji pełnej

Spis treści

1. [Okładka](#)
2. [Karta tytułowa: Leonora Nattrass, Czarna kropla](#)
3. [Karta redakcyjna](#)
4. [OBSADA](#)
5. [PROLOG](#)
6. [1](#)
7. [2](#)
8. [3](#)
9. [4](#)
10. [5](#)
11. [6](#)
12. [7](#)
13. [8](#)
14. [9](#)
15. [10](#)
16. [11](#)
17. [12](#)

18. [13](#)

19. [14](#)

20. [15](#)

21. [16](#)

22. [17](#)

23. [18](#)

24. [19](#)

25. [20](#)

26. [21](#)

27. [22](#)

28. [23](#)

29. [24](#)

30. [25](#)

31. [26](#)

32. [27](#)

33. [28](#)

34. [29](#)

35. [30](#)

36. [31](#)

37. [32](#)

38. [33](#)

- 39. [34](#)
- 40. [35](#)
- 41. [36](#)
- 42. [37](#)
- 43. [38](#)
- 44. [39](#)
- 45. [40](#)
- 46. [NOTA HISTORYCZNA](#)
- 47. [PODZIĘKOWANIA](#)